

Wakacje z mułłami – cz. 15

27 stycznia 2008

Wracamy do hotelu i dzwonię do znajomego z pracy, Irańczyka Rezy, który kilka lat temu robił doktorat na wydziale uniwersytetu, gdzie pracowałam i dosyć się z nami zaprzyjaźnił. W Australii był z żoną, bardzo miłą kobietą, która odwiedzała go czasem w pracy, zawsze, ku podziwowi wszystkich, zakutana od stóp do głów, mimo prawie czterdziestostopniowych temperatur. Nie bardzo mogliśmy to wtedy zrozumieć, nie zdawaliśmy sobie sprawy z nakazów religijnych, którym podlegają nabożne irańskie kobiety, a wedle naszej logiki nie miało to sensu. Nasi znajomi mieszkają w Teheranie, ale na drugim, północnym końcu dwunastomilionowego miasta. Krótka rozmowa przez telefon, trochę mnie zadziwiło, że zbyt oficjalna jak na zawsze miłego Rezę, ale wytłumaczyłam sobie, że bądź co bądź nie widzieliśmy się już ze trzy lata. Tymczasem obiecał przyjechać do nas do hotelu, a my kupiliśmy jakieś pudełko czekoladek na jego przyjazd.

Przespaliśmy się trochę, posprzątaaliśmy w pokoju i czekamy na gościa. Ponieważ w Australii widział mnie codziennie bez tych zawojów, miałam wielką ochotę nie ubierać tego wszystkiego na siebie. Z drugiej jednak strony, nie znamy aż tak dobrze tutejszych obyczajów, żeby mieć pewność, że nie palnę w ten sposób byka. Na wszelki wypadek, znów ubieram się w pełną galę. Ku naszemu rozczarowaniu nie wpuszczono go na górę, dostaliśmy telefon z recepcji, że mamy gościa i żeby zejść na dół. Schodzimy i opadają nam szczęki, bo zamiast naszego znajomego widzimy jakiegoś zupełnie obcego faceta.

– Co u licha, przecież potwierdził przez telefon, że pracował na Uniwersytecie Zachodniej Australii.

Telefon i adres dostałam z wydziałowego sekretariatu, ale nawet jeśli wyjechał z powrotem do Iranu trzy lata temu, chyba nie mógł aż tak się zmienić. Popatrzyliśmy na siebie i

stwierdziliśmy, że zaszła tutaj jakaś dziwna pomyłka, bo również i on nie mógł mnie skojarzyć z nikim znajomym. No, ale skoro był kiedyś na moim wydziale i niewątpliwie mamy wspólnych znajomych, zaczęliśmy rozmawiać i zagadka się wyjaśniła.

Okazało się, że sekretariat dał mi adres faceta o imieniu Rezai, a nie Reza, który jako profesor z Iranu w ramach międzynarodowej kooperacji i wymiany naukowej przebywał okresowo na naszym wydziale. Co więcej, oboje szybko doszliśmy do tego, że znamy się z widzenia, choć nie rozpoznaliśmy się z początku. Jego zmyliło moje irańskie ubranie i chusta na głowie, a mnie jego nowa, gęsta broda. Facetowi musi się nieźle powodzić, ma nowe zachodnie auto i mieszka w zamożnej, nowoczesnej północnej części Tehranu. Zaproponował nam małą wycieczkę po mieście, w drodze do domu, przepraszając, że nie będzie mógł odwiedzić nas z powrotem. Dzięki temu mieliśmy okazję zobaczyć trzecią, północną część stolicy, po południowej, biednej, irańskiej, wokół bazaru i stacji kolejowej i centralnej, zdominowanej przez banki, urzędy i ambasady.

Rozciąga się na stokach gór Albruz i jest zamieszкана przez zeuropeizowane klasy średnie i wyższe. Zabudowa jest tam o wiele bardziej nowoczesna, dużo bogato wyglądających willi i niewielkich bloków mieszkalnych, sporo dobrze zagospodarowanej zieleni i nowoczesne, wielopasmowe drogi i autostrady. Po drodze rozmawialiśmy trochę o rewolucji islamskiej, w której Rezai brał udział, o „właściwym” Rezie, który mieszka i pracuje w Urmijeh na północy Iranu i o wspólnych znajomych na Uniwersytecie. Na koniec Rezai zawiózł nas na pętlę autobusową skąd odjeżdża autobus, który miał nas zawieźć w pół drogi z powrotem do domu i powiedział gdzie i na co trzeba się przesiąść, żeby wrócić do naszego hotelu. Wycieczka nie była planowana, wyszliśmy z hotelu trochę na ślepo, nie bardzo wiedząc gdzie i na jak długo pojedziemy, no i nie zabraliśmy niestety mapy miasta.

Kiedy wysiedliśmy z autobusu na ogromnym placu, u zbiegu kilku ulic i alei, z kilkunastoma przystankami autobusów we wszystkich możliwych kierunkach i stacją metra, byliśmy zupełnie zagubieni. Zapytaliśmy kilku policjantów, ale albo nie mówili po angielsku, albo dawali nam sprzeczne informacje, wreszcie znaleźliśmy luksusowo wyglądający hotel, gdzie w recepcji mieli plan miasta i znali nasz hotel. Niestety nie wiedzieli skąd i jaki autobus tam jeździ, ale powiedzieli, że to niedaleko i można dojść piechotą. Ruszyliśmy wzdłuż dwupasmowej alei, podziwiając nowoczesną architekturę Teheranu, wieżowce, banki i sklepy z elektroniką.

Jesteśmy tuż obok ulicy, gdzie mieści się, sądząc po adresie, biuro turystyczne, w którym zarezerwowaliśmy przelot do Yerevanu. Trochę błądzimy bez mapy, ale wreszcie je znajdujemy, przynajmniej będziemy jutro wiedzieć, gdzie przyjść po bilety na samolot. Byliśmy solidnie zmęczeni, wstąpiliśmy więc do jakiegoś sklepiku na sok z marchwi, a potem ruszyliśmy z powrotem do hotelu, rozglądając się za jakąś otwartą restauracją. Tymczasem zaczynało już z lekka szarzyć, kiedy to omijając zagrodzony rusztowaniami chodnik, zmuszeni byliśmy zejść na jezdnię. W tym momencie zatrzymało się obok nas jakieś nieoznakowane, dość zdezelowane auto, z dwoma facetami z których jeden w zielonym mundurze, wychylając się z okna przedstawił się jako policjant, po czym otworzył drzwi auta, blokując nam odwrót na chodnik. Byliśmy praktycznie uwięzieni między autem z jednej strony, wysokim żywopłotem z drugiej, a otwartymi drzwiami z trzeciej. Z czwartej zagroził nam drogę rzekomy policjant. Zaczął nas agresywnie wypytywać kim jesteśmy i zażądał pokazania paszportów.

W przewodniku wyraźnie ostrzegają przed tego typu przypadkami. Podobno dość często zdarza się, że policjanci na niby działają właśnie w ten sposób aby okraść turystów ze wszystkiego. Z drugiej strony nie byliśmy pewni, czy facet nie jest prawdziwym policjantem, a więc powiedzieliśmy grzecznie, że

jesteśmy turystami z Australii, a nasze paszporty zgodnie z wymogami tutejszego prawa są złożone w recepcji hotelu. Równocześnie próbowaliśmy wycofać się na chodnik, ale facet nie popuszczał.

– Chcę widzieć wasze ID, kim wy jesteście! – domagał się tonem nie uznającym żadnego sprzeciwu.

Mówił dość dobrze po angielsku, a jego zachowanie było typowe dla kogoś nawykłego do rozkazywania i posłuchu. A my, przez 25 lat w Australii przywykliśmy słuchać policji i mieć do niej zaufanie. Tak więc, zamiast podnieść wrzask o pomoc, czy uciec, posłusznie pokazaliśmy mu fotokopie naszych paszportów, w nadziei, że na tym się skończy. Tylko, że się nie skończyło, bo facet nagle zaczął rewidować Krzyśka od stóp do głów. Wyciągnął mu z kieszeni portfel, przeliczył pieniądze i zaczął drzeć się, że jest ich za mało.

– Szukamy narkotyków, a wy jesteście dilerami – powtarzał, przeglądając Krzyśkowe rzeczy i obwąchując je starannie.

Zaczęliśmy ostro protestować, domagając się natychmiastowego zawieszenia na posterunek policji, ale facet tylko się zaperzył w odpowiedzi, krzycząc, że on jest policjantem i ma prawo nas rewidować na ulicy. Wyrwał mi z rąk torebkę i zaczął w niej grzebać. Na nieszczęście, idąc na spotkanie z Rezaï, wrzuciłam tam mój woreczek z pieniędzmi, który normalnie zawsze noszę na szyi, a o którym potem zupełnie zapomniałam. Krzysiek miał w rzeczy samej niewiele pieniędzy w portfelu, bo większe sumy, wraz z ważnymi dokumentami, trzymamy zawsze podzielone, część w jego ukrytym portfelu, a część w moim woreczku. Słabo mi się zrobiło, gdy sobie uświadomiłam, że gość ma rękach większość naszych pieniędzy na Iran i Armenię. Nawet i to go jednak nie zadowoliło, wciąż nam wpierał te narkotyki.

– Macie za mało pieniędzy na Tehran, czym się tutaj zajmujecie, czy używacie narkotyków, czy je przewozicie?!

Próbowaliśmy mu tłumaczyć, że wyjeżdżamy za dwa dni, a hotel mamy zapłacony, ale wyglądało, że nie chodzi mu o żadne tłumaczenia i wyglądało na to, że stracimy pieniądze i kartę kredytową. Ale nie straciliśmy. Facet nagle skończył przesłuchanie, oddał nam z powrotem nasze rzeczy i wszedł do auta, które szybko odjechało zostawiając za sobą kłęb spalin.

Staliśmy jak skamieniali, jeszcze przez parę sekund, zanim dotarło do nas, że nawet nie zanotowaliśmy numerów rejestracyjnych samochodu. Byliśmy niestety zbyt zaskoczeni niespodziewanym atakiem, aby myśleć i reagować szybko i logicznie. Zaczęliśmy po fakcie rozważać bardziej zdecydowane i mniej poniżające możliwe reakcje, jak na przykład wołanie o pomoc, albo zdecydowaną ucieczkę, albo wreszcie wysunięcie mnie naprzód, bo facet, kimkolwiek był, nie ośmielił się mnie dotknąć. Fakt, że nie pomyśleliśmy o tym wcześniej tylko pogłębił naszą złość, frustrację i niesmak. Z jednej strony mieliśmy szczęście, że nas nie okradziono, z drugiej jednak wściekaliśmy się, że potraktowano nas jak przestępców i zrewidowano na środku ulicy. Ja chciałam zgłosić ten incydent w ambasadzie, z czym trzeba było poczekać do rana, ale Krzysiek tak się zawziął, że złapał pierwszą napotkaną taksówkę i kazał nas wieźć na komendę policji, by złożyć zażalenie.

Na miejscu było już po godzinach, nikt nie mówił ani słowa po angielsku, nie wiedzieli czego my w ogóle chcemy i co z nami robić. Jakiś przygodny petent, który zrozumiał z grubsza o co nam chodzi, zaoferował się zadzwonić do jakiejś krewnej, która przez telefon przyjęła rolę tłumacza. Krzysiek mówił jej co i jak, a ona powtarzała to w Farsi funkcjonariuszowi. Ten nie przejął się zbytnio i gdy dowiedział się, że nie znamy numeru rejestracyjnego tego auta, odesłał nas na posterunek dzielnicy, w której incydent miał miejsce.

Zrozumieliśmy, że policja nie może i nie chce nic zrobić. Za to interesanci byli głęboko zawstydzeni i bardzo nas przepraszaali. Tłumaczyłam Krzyśkowi, że skoro nic nie

straciliśmy, nie wiemy kto nas zatrzymał, nie zapisaliśmy numerów auta i nikomu nic nie udowodnimy, lepiej będzie sobie odpuścić i wrócić do hotelu. W Iranie jest wiele rodzajów policji i nie można było dociec czy był to prawdziwy policjant, czy rabuś, no więc najlepiej będzie sobie ulżyć, skarżąc się ambasadzie. Mimo przeprosin miejscowych i pocieszania się, że nas nie obrabowano, pozostał nam po tym incydencie głęboki niesmak, który zepsuł nam ostatnie dni w Iranie, do tego stopnia, że postanowiliśmy zrezygnować z przedłużania wizy i podróży na północ i lecieć jak najszybciej do Armenii.

Wsiedliśmy w autobus i pojechaliśmy do restauracyjki w pobliżu hotelu na bardzo spóźniony obiad. Dziwna jest reakcja tutejszych na słowo „policja”. W restauracji gdzie jedliśmy parę razy i nas już znają, Krzysiek nie mógł powstrzymać się od drobnej uwagi, że mieliśmy kłopoty z policją. Mili normalnie i rozmowni ludzie, nagle zamilkli i bardzo oficjalnie wzięli od nas pieniądze za obiad unikając naszego wzroku.

Koniec części piętnastej

Autorzy: Teresa & Krzysztof

Źródło: [Alternatywa](#)